

## Mazurska przygoda

Kiedy dwadzieścia lat temu poznaliśmy się przypadkiem w Chinach, przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś los połączy nas na zawsze, a swój wspólny azyl znajdziemy na Mazurach.

Mieszkający na stałe w różnych krajach, on – w Anglii, ja – w Polsce. My, z duszy podróżnicy, żądni wiecznej przygody, pragnący być jednocześnie w wielu miejscach na świecie, wolni, bez zobowiązań i poczucia przywiązania staniemy się orędownikami życia na pustkowiu, wśród lasów, pól i łąk!

Owszem, oboje kochaliśmy wypady za miasto, wieś, naturę i zwierzęta. Lubiliśmy także ciszę potrzebną do odzyskania wewnętrznego spokoju i harmonii, złapania oddechu po trudach podróży. Ale ja nigdy wcześniej poza dziecięcymi wakacjami w przeszłości nie spędzałam na wsi więcej niż kilka dni w roku. Dlatego też do pomysłu posiadania siedliska, a tym bardziej założenia tam farmy jeleni odniosłam się z początku z dużym sceptycyzmem.

Co innego Ryszard, ten miał rozsądnych rodziców, którzy urządzali swoim dwóm synom rokrocznie miesięczne wiejskie wakacje gdzieś na Podlasiu u zaprzyjaźnionego od lat z rodziną zamożnego gospodarza, zwanego wówczas kułakiem... Ten po ojcowsku zajmował się chłopcami, wprowadzając ich w świat codziennych zajęć. I tak oto poznawali, czym jest hodowla zwierząt, uprawa zbóż, obsługa maszyn rolniczych, a przede wszystkim jak wygląda mozolna praca na roli. Jakże mądre i przydatne były takie wakacje, okazało się dopiero po latach. Ważna stała się też kontynuacja dawnych tradycji rodzinnych związanych z długą obecnością dziadka Ryszarda w Podhorcach, gdzie był wiele lat zaufanym plenipotentem księcia Sanguszki. Opowieści na ten temat rozbudziły w nas

ukryte tęsknoty o prawdziwym polskim dworze, rodowej siedzibie i głęboko zakorzenionych tradycjach. Pomimo mojego wcześniejszego sceptycyzmu i nieufności co do podjętej decyzji powoli zmieniałam zdanie, kiedy zaczęliśmy penetrować okolice Wielkich Jezior Mazurskich w celu wybrania upragnionego miejsca na farmę. Okazało się, że moja wiedza na temat Warmii i Mazur jest raczej znikoma, a zaskoczenie prawdziwym rodzimym pięknem – niespodziewane.

Oczywiście wyobraźni już widziałam przechadzające się stada pięknych jeleni, byki wyposażone w ogromne wieńce, łanie z małymi wśród bujnych traw... W czasie kilku miesięcy obejrzelśmy wiele fantastycznych, pełnych uroku miejsc, jednak niestety nie wszystkie nadawały się do hodowli. Bo albo przestrzeń była za mała, albo za duża, ukształtowanie terenu nie takie, brak naturalnej osłony przed wiatrem lub odpowiedniego dostępu do wody pitnej. Wciąż pojawiały się rozmaite mankamenty uniemożliwiające podjęcie właściwej i ostatecznej decyzji co do wyboru miejsca.

Jeździliśmy ze wschodu na zachód, z północy na południe. Pokonywaliśmy setki kilometrów podczas wielotygodniowych wypadów, podziwiając po drodze zachwycające pejzaże z kopulastymi wzgórzami, pośród których rozlały swe wody zielonkawe albo modre jeziora. To znów mijane dostojne lasy świerkowe przypominały o trwałości tej puszczy, by za chwilę zamienić się w morze falujących na wietrze traw, pachnące łąki i rozciągające się po horyzont pola. Spotykaliśmy po drodze ciekawych ludzi, nawet z tak odległej Nowej Zelandii, którzy stworzyli szerokie plany zakładania podobnych farm w Polsce. Nie kto inny jak właśnie oni byli przecież prekursorami wdrażania wiedzy hodowlanej. Nie wszyscy się orientują, że Nowa Zelandia była i jest wciąż światowym potentatem w dziedzinie hodowli jeleni. Wcześniej poznawaliśmy farmy w Anglii i Altaju, gdzie tradycje hodowlane sięgają dziesiątków, a nawet gdzieś tam setek lat.

Przyglądaliśmy się wspaniałym przestrzeniom angielskiej prowincji i rozległym syberyjskim szlakom stepu i tajgi. Teraz

zaś podróżowaliśmy po Warmii i Mazurach. Bo tu pięknie. I u siebie! Od Nidzicy do Gołdapi, od Bartoszyca po Lidzbark Warmiński, a następnie przeczesywanie okolic Reszla, Świętej Lipki, Mrągowa, Biskupca i wielu, wielu innych lepszych i gorszych, czasem niezbyt ciekawych, a czasem naprawdę cudownych miejsc. To była fantastyczna przygoda. Stała się też zarazem dla nas cotygodniowym rytuałem, hazardem jakimś, wprost opętaniem.

Z wielkim sentymentem wracam do odwiedzin eksperymentalnej farmy jeleniowatych w Popielnie należącej do Polskiej Akademii Nauk, a także najwspanialszej w tym czasie farmy w

Kosewie prowadzonej z inicjatywy profesora Andrzeja Malczewskiego przez miłe młode małżeństwo. Do dziś pamiętam dobrze ich dwa ogromne, wielkiej łagodności białe samojedy i to, jak rankiem obudziło nas mlaskanie oraz widok na wpół oswojonej łani o imieniu Zosia usiłującej włożyć swój niemały łeb w okno naszej sypialni. Tam też kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się, aby poznać nie tylko uroki, ale i wymogi związane z tak niepospolitą jeszcze wówczas hodowlą. Trzeba bowiem pamiętać, że nikt wcześniej nie pokusił się na tak odważny krok i prawdziwe wyzwanie, jakim było założenie prywatnej farmy jeleni w Polsce. Byliśmy pierwsi!

Wreszcie po długich poszukiwaniach znaleźliśmy! Rewelacyjne siedlisko wraz z przyjazną okolicą spełniającą nasze oczekiwania!

Niepozbowione wszakże pewnych wad, spośród których największą, jak się później okazało, było niezwykle trudne sąsiedztwo popegeerowskiej substancji ludzkiej.

Ale to już całkiem inna historia...